

# BOGOWIE TANGA

CAROLINA DE ROBERTIS



ALBATROS

Tytuł oryginału:  
THE GODS OF TANGO

Copyright © Carolina De Robertis 2015  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Anna Dobrzańska 2017

Redakcja: Marta Grał

Projekt graficzny okładki i serii: Agnieszka Drabek

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Dante umarł jako szczęśliwy człowiek, dziwak znany z tego, że miał w domu trumnę. Plotkarki z Montevideo latami spekulowały na temat tej trumny. To wampir. Szaleniec. Panicznie boi się śmierci. Trzyma w niej swoje skrzypce; trumna jest obłożona zaklęciem wiedźmy i dlatego za każdym razem, gdy ten stary drań zaczyna grać, coś rozdziera ci duszę. Nigdy jednak nie domyśliły się prawdziwego powodu.

Ostatnia chwila zastała go w kuchni, nagle coś szarpnęło jego sercem, jakby ogromny pędzel przebił jego pierś i pomalował jej wewnętrzną stronę na białe. Nie mógł oddychać; próbował zacisnąć palce na krawędzi stołu, ale jego dłoń trafiła na pustkę. Gdzieś daleko coś zabrzęczało. Nie był to ból, raczej ciśnienie, które zmusiło go, żeby zapadł się w sobie, niemal słodko, i pogrzebało wszystkie jego sekrety pod stertą gruzu. Ostatnia myśl Dantego nie dotyczyła jednak tajemnic, muzyki, Boga czy nawet kobiety, która wypełniła jego życie radością. Dotyczyła Cory. Cora, skarbie, *carissima*, podejdź bliżej. Jesteś tu? Weź mnie za rękę. Jeśli jest światło, poprowadź mnie ku niemu. Jeśli nie, nie boję się, bo jesteś przy mnie. Ty. Jesteś tu. Promienna. Tak jak wtedy, zanim to wszystko się zaczęło.

Sięgnął po rękę Cory, a ona się uśmiechnęła i otworzyła usta, z których wylała się struga światła.

## UNO

### *Nie myśl o niczym, myśl o domu*

Leda przybyła do Argentyny czwartego lutego 1913 roku na statku parowym, za sprawą którego dwadzieścia dni wcześniej Włochy zniknęły, połknięte przez wygłodniałego potwora zwanego horyzontem. Ostatniego ranka na pokładzie ubrała się starannie i gdy bagażowy przyszedł, by wynieść na pokład kufer, zamknęła go szczelnie, tak by nic nie wypadło, żaden rękaw, drobinka kurzu ani nawet zbłąkane wspomnienie. Potem usiadła w milczeniu. Kobieta, która dzieliła z nią koję, Fausta, zostawiła pościel zmiętą. Bez wątpienia była już na pokładzie i wyciągała szyję, wyglądając wybrzeży Buenos Aires. Jeśli Leda nie znajdzie jej w tłumie, być może nigdy więcej jej nie zobaczy. Dziwna myśl po tym, jak dwadzieścia nocy z rzędu dzieliła kajutę z kobietą, która nie była jej krewną i którą poznała dopiero pierwszego dnia rejsu. Obcy ludzie. Uczucie obcości. Te dwie rzeczy towarzyszyły jej w podróży do Ameryki Południowej. Zastanawiała się, co powiedziałaaby matka, gdyby była z nią w tym małym, dusznym pomieszczeniu. „I oto jesteśmy”, „Cuchnie tu jak w chlewie” albo „Na litość boską, Ledo, popraw czepek”. Powtarzała sobie, że pewnego dnia zobaczy znów matkę, ojca, kuzynów, wujów, ciotki i pozostające w ciągłym ruchu ręce prababci, choć wszystko to było nieprawdą. W ciągu kolejnych lat Leda miała zobaczyć wiele rzeczy, które wprawiają ją w osłupienie, doprowadzą do tego, że jej dusza rozpadnie się na kawałki i przybierze formy, o jakich jej się nie śniło, ale nigdy więcej nie zobaczy rodziny.

Siedziała na kufrze, który zabrała z domu. Jakże niewiele

rzeczy kryło się w jego wnętrzu. Starannie poskładane sukienki. Kilka książek. Słoik oliwek w zalewie przygotowanych przez żonę piekarza. Orzechy laskowe owinięte w grube płótno. Skrzypce ojca, przekazywane w rodzinie z pokolenia na pokolenie, po raz pierwszy opuszczały Włochy, by stać się darem dla jej męża.

To dziadek bez przerwy opowiadał jej historię skrzypiec, jakby powtarzanie jej mogło złagodzić poczucie straty; jak gdyby dzieje ludzkości nie zostały spisane w księgach i zbiorach mitycznych uniwersytetów w Rzymie i Neapolu, których nikt z ich wioski nigdy nie widział, ale w przedmiotach takich jak ten. W skrzypcach dotykanych przez setki rąk, kochanych, używanych, głaskanych i tulonych do piersi. Przedmiotach, które przeżywały swoich właścicieli i przechowywały ich tajemnice i kłamstwa.

Wyobraź sobie, mówił dziadek, że do roku tysiąc pięćset pierwszego te skrzypce należały do króla Neapolu. Tak, to prawda, nie waż się w to wątpić. Nikt nie wie, jak długo były w rodzinie królewskiej, lecz bez względu na to, do kogo należały wcześniej, nie ma wątpliwości, że trafiły do rąk Fryderyka Aragońskiego, ostatniego króla Neapolu z rodu Trastámara. Był cichym, życzliwym człowiekiem, który, chcąc nie chcąc, musiał zmierzyć się z dwoma siłami – dwoma narodami: Hiszpanią i Francją, ostrzącymi sobie pazury na jego tron, wciąż osłabiony po zbyt krótkim panowaniu jego ojca, brata i bratanka, którzy rządili przed nim. Nadażasz za mną, Ledo? Próbował panować, ale wystarczy, żeby przeciwnicy zjednoczyli siły z twoją pechową gwiazdą, i nagle zostajesz otoczony, nie masz dokąd uciekać. Co więc robisz? Powiem ci. Wybór jest prosty. Albo umierasz, albo tak jak stoisz, uciekasz do innego kraju i rozpoczynasz zupełnie nowe życie. Tak właśnie postąpił Fryderyk: uciekł. Opuścił swój kraj. Jednak nie jako wolny człowiek, ale jako więzień, otoczony żołnierzami. Zanim wyjechał, zanim przyszli po niego gwardziści, otworzył okno swej sypialni, spojrzął z góry na Neapol i zagrał na skrzypcach. Zagrał utwór żałobny, który zdawał się dobywać z samego wnętrza ziemi. Jediną osobą, która go słyszała, był pewien hrabia. Opowiadał później, że była to najsmutniejsza i najpiękniejsza muzyka, jaką w

życiu słyszał. Kiedy król przestał grać, oddał hrabiemu skrzypce.

„Zatrzymaj je – powiedział. – Ja już nigdy nie zagram”.

Hrabia z początku zaprotestował „A co z twoimi synami?” – zapytał.

Król Fryderyk pokręcił tylko głową. „Skrzypce muszą tu zostać” – odparł.

Nikt nie wie, czy zesłany do Francji król jeszcze kiedyś zagrał na skrzypcach; jest to jeden z tych szczegółów, które na zawsze zatonęły w odmętach czasu, tak więc, Leda, nie dowiesz się tego ode mnie. Wiadomo jednak, że hrabia zatrzymał skrzypce i przekazywał je kolejnym pokoleniom swojej rodziny, która w końcu, w tysiąc osiemset piętnastym roku, sprzedała instrument mojemu pradziadkowi, żeby spłacić długi. Wraz z nim mój pradziad poznał opowieść o królu Neapolu i jego pożegnaniu z miastem, co oczywiście podniosło wartość skrzypiec (niezależnie od tego, czy historia ta była prawdziwa, pomyślała Leda, ale nie powiedziała tego na głos, jako że dziadek nie miał wątpliwości co do jej autentyczności). I tak oto sam król grał na tych skrzypcach w ostatnim dniu Neapolu jako niepodległego królestwa. Co dokładnie grał Fryderyk? Jak brzmiała ta muzyka? Nigdy się tego nie dowiemy. Tak to już jest z melodiami: ulatują w powietrze i tam giną. Tak jak wspomnienia. I ciało. Wspomnienia, melodie i ciała znikają wraz z naszą śmiercią. Instrument nie jest jak ciało. Jest niczym dusza, która trwa, nawet gdy nas już nie ma.

Leda wyszła na pokład. Był gorący, parny dzień, i krople potu perliły się na czołach mężczyzn, których było tu znacznie więcej niż kobiet. Większość z nich była młoda, choć wśród tych tylko nieliczni mieli jak ona siedemnaście lat. W ich oczach widziała nadzieję i gorączkowe wyczekiwanie; trzysta sześćdziesiąt osiem napiętych ludzkich strun. Wśród kobiet były głównie żony płynące na spotkanie swoich mężów w Buenos Aires, tak jak Fausta (i ja, pomyślała Leda. Pamiętaj, pamiętaj, zgaśniła się w duchu, że ty również jesteś żoną). Na pokładzie roiło się od ludzi, jak w dniu, kiedy statek wypływał z Neapolu. Nikt nie grał w karty dla zabicia czasu. Nuda niczym zbędny balast została wyrzucona za burtę.

Wszyscy byli na nogach i tłocząc się przy relingu, wyciągali szyje w kierunku lądu.

Argentyna. Leda zaczęła się przeciskać w stronę relingu. Po prawej stronie młoda kobieta szeptem odmawiała różaniec. Po lewej mężczyzna po czterdziestce ocierał łzy, podczas gdy stojący obok niego młodzieniec palił papierosa z obojętnością albo, pomyślała Leda, z czymś, co miało uchodzić za obojętność. Jego postawa wydawała się teatralna. Leda poczuła pot, dym papierosowy i ostry zapach wody kolońskiej. Nieco dalej, trzy, cztery rzędy z przodu, dwóch mężczyzn podniesionymi głosami rozmawiało o lądzie, który zobaczyli.

– *Che bella*. Piękny.

– Tak. Piękny.

Powtarzali to do znudzenia, jakby wypowiedanie tych słów na głos miało utwierdzić ich w przekonaniu, że to, co mówią, jest prawdą, która doda im sił, kiedy zejda na ląd. Ich głosy niesły się pośród jęków i pomruków tłumu. Leda delikatnie przepchnęła się do przodu. Stojący przed nią mężczyzna odsunął się, najwyraźniej mając dość widoków, więc wślizgnęła się na jego miejsce, zanim ktokolwiek inny zdążył je zauważyć. Brakowało jej widoku lądu, ale nie byle jakiego lądu; chciała w końcu zobaczyć Buenos Aires – swój nowy dom. W ciągu ostatnich trzech tygodni często wystawała sama przy relingu, wpatrując się w bezkresne wody oceanu i wyobrażając sobie, jak wygląda miasto, do którego zmierzała, ale widziała jedynie bujne tropikalne paprocie i drzewa ogrodu botanicznego, w którym Dante tuż po przyjeździe zrobił sobie zdjęcie, żeby wysłać je rodzinie. Fotografia przechodziła z rąk do rąk podczas niedzielnego obiadu, przy wtórce cmoknięć, które wyrażały zarówno podziw, jak i konsternację.

Jest naprawdę szczęśliwy w tej Argentynie.

Wygląda na szczęśliwego.

Jest za chudy.

Patrzcie na te papugi, są tak duże, że mogłyby go zjeść.

Nie bądź śmieszny, Mario. Nie są prawdziwe. To tylko pomalowane drewno.

Skąd ta pewność?

Mam oczy.

Nic nie wiesz, idioto.

Ja tylko...

Na litość boską, koniec już tych kłótni, strofowała ich matka Ledy.

A może tak pozwolimy przyszłej żonie rzucić na nie okiem?

Właśnie! Ledo, chcesz je zobaczyć?

Fotografia trafiła do jej rąk. Na zdjęciu Dante stał pośród dziwnych paproci o ogromnych liściach, w towarzystwie dwóch papug, które, w przeciwieństwie do tego, co twierdził jej brat, wydawały się jak najbardziej żywe. Trzymał niezapalonego papierosa i uśmiechał się znacząco. Jestem panem tego miejsca, zdawała się mówić jego poza. Oczywiście to, że akurat w tym miejscu znalazł fotografa, który zrobił mu zdjęcie, nie znaczyło, że całe miasto tak wygląda. Wiedziała o tym, a przynajmniej jakaś jej część miała tego świadomość. Jednakże obraz ten na dobre utkwiał jej w głowie.

Teraz, na parowcu, zastanawiała się, jak dziś wieczorem będzie wyglądał jej pierwszy raz z Dantem. Jak będzie jej dotykał i ile to wszystko potrwa. Czy będzie czuła ból, czy może rozkosz, jak panny młode w balladach? Czy będzie myślała o drzewach figowych w sadzie, o tym, jak ich owoce lśnią, gdy ściska się je w palcach? A może nie będzie myślała o niczym. Może będzie myślała o domu.

Grupa mężczyzn z przodu najwyraźniej napatrzyła się już na zbliżający się ląd i kiedy się odsunęli, Leda stanęła przy relingu i oparła się o niego. Wiatr smagał jej twarz i wypełniał nozdrza słonym powietrzem. Obawiała się, że może zerwać jej z głowy niebieski czepek, choć przypięła go wsuwkami, a utrata czepka – najpiękniejszej rzeczy, jaką miała okazję nosić, ozdobionego prawdziwymi perłami, które zdaniem jej matki „pasowały do przyszłej żony” – byłaby nie do zniesienia, tak więc przytrzymała go obiema rękami. Tłum wokół niej przerzedzał się (każdy z obecnych na pokładzie trzystu sześćdziesięciu ośmiu Włochów



snuł wyobrażenia na temat własnej wizji Argentyny), tymczasem Leda spoglądała na widoczne w oddali Buenos Aires. Budynki wciąż wydawały się tak małe, że nie była w stanie powiedzieć o nich nic więcej poza tym, że istniały – że podczas gdy ona i jej rodacy nadal nie mieli pojęcia, co ich czeka po zejściu na ląd, przynajmniej coś tam zastaną; prawdziwe miejsce, które uświadomi im, po co tak naprawdę przebyli ocean i że Ameryka to coś więcej niż bajka wymyślona przez przewoźników morskich, agencje sprzedaży biletów i krewnych z listami, które pisali do domu; nawet jeśli przekonanie się na własne oczy, że Ameryka istnieje, nie odkrywało prawdziwej tajemnicy, tajemnicy, którą dużo trudniej było rozwiąć, a dokładnie tego, czym tak naprawdę był ów nieznany ląd.

Leda przez długi czas stała przy relingu i patrzyła, jak Buenos Aires dryfuje ku niej, a ponieważ nie śmiała wyobrazić sobie jego budowli ani tego, jak odnajdzie się pośród nich, wyobrażała sobie siebie i Dantego w ogrodzie botanicznym, przechadzających się między egzotycznymi paprociami i śpiących pod ich ogromnymi liśćmi, które przypominały skrzydła wielkiego łagodnego łabędzia.

\*

Ślub Ledy był szybki, skromny i zakończył się, zanim przestała czuć na języku smak hostii. Ponieważ państwo młodzi mieszkali na różnych kontynentach, uroczystość odbyła się z udziałem pełnomocnika; w imieniu Dantego przy ołtarzu stanął jego ojciec Mateo, wuj Ledy. Panna młoda miała na sobie prostą, płócienną sukienkę, którą pożyczyła w pośpiechu od kuzynki. Była na nią za krótka – Leda był najwyższą dziewczyną w Alazzano – i marszczyła się na biodrach, ale z białymi goździkami w dłoni i we włosach i ze sznurem matczynych pereł na szyi panna młoda prezentowała się na tyle dobrze, by zadowolić tłum krewnych i melancholijnego księdza. Włożyłaby suknię ślubną matki, jak nakazywał zwyczaj, ale skoro ślub miał się odbyć natychmiast, a dzień później panna młoda miała wsiąść na statek do Argentyny,

nie było czasu na przeróbki. Choć w młodości jej matka nie była tak korpulentna jak teraz, mogła się poszczycić krągłościami, o czym świadczyła suknia – zmysłowymi kształtami, wobec których pozbawiona bioder i piersi Leda prezentowała się nader skromnie. „Jak to możliwe, że wydałam na świat dziewczynę, której brak kobiecych atrybutów?” – mawiała czasami matka. Obie znały jednak odpowiedź: w rodzinie dziadka były dwie stryjeczne babki, które sływały z równie niekobiecych kształtów. Przeżyły swoje życie jako stare panny. Z powodu ich wysokich, szczupłych ciał, srogich charakterów i tendencji do trzymania się razem, jak gdyby wyciągnięto je z tego samego pudełka, ludzie mówili na nie Gwoździe. Stojąc przy ołtarzu i słuchając pomruków księdza, Leda miała wrażenie, że wyczuwa ulgę, z jaką matka przyjęła wiadomość, że córka wychodzi za mąż, a co za tym idzie – uniknie losu Gwoździa. Dziewczyna nie wiedziała jednak, czy od ulgi nie jest silniejszy smutek, że ta córka już niebawem wyjedzie do dalekiego, obcego kraju. Odkąd Dante przysłał list, w którym pisał: „Przyslijcie Ledę, jestem gotowy”, w zachowaniu matki wyczuwało się napięcie.

– Na dobre i na złe? – spytał ksiądz.

– *Si* – odparł *zio* Mateo.

– *Si* – powtórzyła Leda, a jej głos odbił się echem od łukowatego sklepienia, tak że figury świętych zadrżały w niszach.

Potem powtarzali słowa przysięgi. *Zio* Mateo nie patrzył na nią. Zawsze miał nieprzenikniony umysł. Był typem człowieka, który sprawiał wrażenie, jakby żył poza swoim ciałem. Podczas rodzinnych spotkań milczał albo wygłaszał długie, żarliwe monologi, których nikt nie miał odwagi przerywać. Nawet teraz, biorąc ślub z jego synem, Leda nie była w stanie wyczytać niczego z twarzy *zio*; nie było w niej żadnej wiadomości, żadnego błogosławieństwa, tylko znudzona akceptacja, jakby wypełniał obowiązek, którego rezultat był mu całkowicie obojętny. Jak gdyby w ogóle nie myślał o swoim młodszym synu w Argentynie, o pocie i hałasie wypełniających dni Dantego, samotnych nocach i małżeńskim życiu, które już niebawem miał rozpocząć. Jakby

zmęczyła go rola głowy rodziny i cała ta ceremonia, która była dla niego niczym więcej, jak tylko przykrym obowiązkiem. Ot, znużony, nękania kłopotami patriarcha wypełniający swój obowiązek przy ołtarzu. *Zio Mateo* był jednak kłamcą, oszustem. Leda czuła odrazę, ślubując temu człowiekowi; przez niego nad rodziną zawisła klątwa tak potężna, że nawet śmierć nie była w stanie jej zdjąć; klątwa, która mogła zrujnować jej małżeństwo, jeszcze zanim się rozpoczęło. Upominała się w duchu, że wuj zastępuje jedynie pana młodego, lecz odraza pozostała, ściskając jej żołądek i mącąc kościelny spokój.

Była zima, nietypowy czas na zaślubiny, i kiedy garstka gości szła po schodach na plac, Leda czuła, jak zimne powietrze kąsa jej policzki. Wyobrażała sobie, że świat będzie wyglądał nieco inaczej niż w chwili, gdy wchodziła do kościoła, że będzie lśnił tajemnym blaskiem, widocznym tylko dla świeżo upieczonych małżonków; że ona będzie w stanie dostrzec ukrytą strukturę, dzięki której ten świat stanie się bardziej zrozumiały i bliższy temu, jaki nosiła w sobie. Niezliczoną ilość razy słyszała słowa: „Zrozumiesz, jak dorośniesz”. I oto stała na progu kobiecości. Czar jednak nie zadziałał. Świat był taki sam. Jej brat, Tommaso, jak zawsze mówił coś, rozśmieszając ojca, lecz ona nie słyszała ich rozmowy. *Papà* prowadził ją pod ramię i ten delikatny, niemal nieśmiały dotyk dodawał jej otuchy. „Przysięgam, że to prawda, dostał cios prosto w... no, sam wiesz gdzie”, mówił jej brat. Ojciec znów się roześmiał, tym razem nieco zbyt głośno, a dźwięk, który dobył się z jego ust, był niski i gardłowy. Matka szła za nimi, emanując chaosem. Trójka dzieciaków tłoczyła się wokół niej, podobnie jak inne dzieci i ich matki. O czym rozmawiały kobiety? Do uszu Ledy dolatywały pojedyncze słowa: „wnuk”, „pomarańcze” i „nigdy nie dojrzały”. Ich głosy unosiły się i opadały melodyjnymi falami. *Zio Mateo* i jego najstarszy syn, Mario, szli z przodu w milczeniu. Kiedy przecinali plac, ich kroki odbijały się echem od kocich łbów, tych samych zaokrąglonych, szarych, nierównych kamieni, po których spacerowali przodkowie Ledy, kiedy szli na mszę, partyjkę szachów albo prac ubrania w miejskich baliach, odkąd

Dante Mazzoni uciekł z Apulii w 1582 roku – po tym, jak stanął po stronie francuskich Burbonów w nieudanej próbie obalenia rządów Hiszpanii – i osiedlił się tu, w Alazzano, małej wiosce, w dolinie figowców, duchów i gajów oliwnych. Teraz rodzina Mazzonich była właścicielami połowy ziem wokół wioski, a jednak padła ofiarą długów i innych demonów, które sprawiały, że młodsze pokolenia wyjeżdżały za granicę albo popadały w zapomnienie. Choć stwierdzenie, że ziemie należały do Mazzonich, nie do końca było zgodne z prawdą. Ich właścicielem był jeden człowiek. *Zio* Mateo. Ojciec Ledy, Ugo, jego młodszy brat, nie miał nic, nawet domu, w którym mieszkał dzięki łasce i hojności *zio*. Ten odziedziczył wszystko i dzięki niemu rodzina Ugo mogła jeść, uprawiać ziemię i oddychać.

Ach, jakże doskonale potrafimy ukrywać niechęć, pomyślała Leda, gdy weselnicy zbliżali się do Palazzo Mazzoni, domu wuja, największego budynku we wsi. Jego żona Crocifissa już wcześniej nakryła do stołu – na obrusach obok zastawy pojawiły się srebrne sztućce – i teraz wraz z innymi kobietami znikła w kuchni. Leda chciała do nich dołączyć, ale ciotki spojrzały na nią wilkiem i zablokowały przejście.

- Dokąd to? – spytały.
- Nie dziś.
- Nie w tej sukience.

W pokoju gościnnym pachniało kurczakiem w rozmarynie, sosem pomidorowym i świeżo upieczonymi ciasteczkami. Mężczyźni rozsiedli się, żeby zapalić, dzieci wybiegły na podwórko, a Leda przycupnęła w kącie, choć wolałaby pobawić się z dziećmi. Utkwiła wzrok w wiszącym nad kominkiem obrazie olejnym przedstawiającym winnicę pod czystym błękitem nieba. Na skraju winnicy wyjątkowo wysoki figowiec chwytał promienie słońca w soczyście zielone liście. Pamiętała to drzewo. Rosło na skraju ziemi należącej do *zio* Matea, na granicy z majątkiem don Paola. Granica między gospodarstwami stała się kością niezgody między mężczyznami, a spór o ziemię zapoczątkowany przez ich dziadków trwał latami. Don Paolo rościł sobie prawa do drzewa

figowego, którego owoce tak bardzo uwielbiała jego matka. Po długiej batalii miejscowy sędzia orzekł na korzyść *zio* Matea, choć matka don Paola rozpuszczała plotki, że został on przekupiony. Wygrawszy sprawę, Mateo wziął siekierę i własnymi rękami ściał drzewo. Zrobił to z dwóch prostych powodów: bo chciał i mógł. Odtąd nikt we wsi nie mógł się cieszyć jego owocami. Jednakże na obrazie szerokie liście figowca wyciągały się ku słońcu niczym rozcapierzone palce.

Leda niespokojnie wierciła się na krześle. Przebywanie w tym pokoju sprawiło, że zaczęła myśleć – a jakżeby inaczej – o Corze, która niegdyś tu mieszkała i nazywała to miejsce swoim domem. Jak to możliwe, że zabrakło jej na ślubie, zwłaszcza że był to ślub jej brata. Cora, jej bratnia dusza, niemal siostra, otworzyła przed nią świat, kiedy były dziećmi, zanim rozpoczął się ten koszmar; gdy ich duchy były tak wielkie, że mogły pożreć całe niebo, oblizać palce i mieć ochotę na więcej. Cora, która zdawała się rozumieć świat, która czesała włosy Ledy i podgrzewała jej mleko, kiedy mama była zbyt zmęczona; która nuciła jej kołysanki śpiewane przez matki małym dziewczynkom, zabierała ją nad rzekę po wodę, pokazywała, jak stawiać czoło nurtowi i nie bać się wody, gdy ta sięgała jej do kostek, kolan, a nawet do ud. Była taka odważna. Promieniała, gdy podkasawszy spódnice, śmiała się do rozpuku. Dwa lata młodsza Leda stała na brzegu, bojąc się wejść dalej i patrząc na swoje stopy w krystalicznie czystej wodzie, która pieściła jej skórę i całowała ją. Cora ochlaprywała ją i wołała: „No chodź, chodź, co z tego, że zamoczysz spódnice?!”. Cora, która pokazała jej, jak oskubać kureczaka (zmiękczyć jego skórę, a pióra będą same wychodzić; odpowiednio rozgrzane nie będą stawiać oporu, zanurz ptaka we wrzątku i pozwól, by ciepło uczyniło cuda, złap i pociągnij), i nauczyła ją czytać. W zimowe wieczory siedziała w tym pokoju i czytała Ledzie na głos, a w jej ustach każda sylaba brzmiała rozkosznie i niemal smakowicie. Uwielbiała książki o podróżach. *Odyseję*. *Boską komedię*. *Joannę d’Arc*. Na koniec odkładała książkę i zaczynała opowiadać historie własnymi słowami, niejednokrotnie je ubarwiając. W jej opowieściach

Odyseusz wyzwalał się i pływał z syrenami. Joanna d'Arc uciekała z więzienia, zanim spalono ją na stosie. W drodze przez piekło spotykały zmarłych z ich wiosek: żonę sklepikarza, księdza i przodków, których imiona zapisano w księgach kościelnych. Dla aż palącej się do przygód wiejskiej dziewczynki, takiej jak Cora, nawet piekło wydawało się atrakcyjne. „Posłuchaj, Ledo, mówiła, wyobraź sobie, że podróżujesz do miejsc, w których wszystko jest ci obce, nawet twoja twarz. Wyobraź sobie”. I Leda wyobrażała sobie. Kiedy Cora miała dziewięć lat, przy kamiennych baliach do prania dowiedziała się, że w pewnym wieku dziewczynki zaczynają krwawić. Leda miała wówczas siedem lat. „Mówią, że to boli”, szeptała Cora i mała Leda była przerażona. „Nie przejmuj się”, uspokajała ją przyjaciółka. „Mnie pierwszą to spotka, a gdy przyjdzie czas na ciebie, będę wiedziała, jak ci pomóc”. Ale tak się nie stało. Kiedy Leda zaczęła krwawić, Cory już nie było.

W ciągu godziny przybyło weselników. Wydawać by się mogło, że przysłała cała, licząca sto siedem osób, populacja wioski, a także kilku gości z Monte Rosso i Trinità, dwóch najbliższych wiosek w górach. Jako że nie było pana młodego, każdy chciał porozmawiać z Ledą, pogratulować jej i zapytać o Argentynę, o której nic nie wiedziała. Mężatki utworzyły wokół niej ciasny krąg, którego nijak nie dało się przerwać.

- Jesteś gotowa? Spakowałaś wszystko?
  - Lepiej, żeby spakowała. Powóz przyjedzie o świcie.
  - O świcie!
  - Twój kufer musi być pełny aż po brzegi.
  - Czy zimy są tam srogie?
  - Nie, nie, Giovanni, teraz jest tam lato... Niewiarygodne, prawda? Więc kiedy dotrze na miejsce, będzie ciepło.
  - Ach!
  - Nawet jeśli nie będzie ciepło, Dante w mig ją rozgrzeje.
- Śmiech.
- Biedna panna młoda, wyszła za mąż, a wciąż musi czekać.
  - Ale będzie warto.
  - O, tak. Nie przejmuj się, Ledo.

– Uwierz nam na słowo: nic ci nie będzie.

Znowu śmiech.

– Ledo, przyniosłam ci orzechy laskowe z mojego sadu. Dla ciebie i Dantego, żebyście zjedli je razem po twoim przyjeździe.

– Jakie to romantyczne! Będzie mógł je dla ciebie otworzyć.

– Ha, ha, ha.

– Nie o to mi chodziło.

– Ale i tak to zrobi.

– Co?

– Muszę ci wszystko tłumaczyć?

– Nie wiesz?

– To nie jest śmieszne.

– Dość tego, drogie panie.

– Ale ona zawsze...

– Koniec kłótni.

– Ja też mam coś dla ciebie, Ledo. Oliwki z ostatnich zbiorów.

Dla twojego Dantego.

– Naszego Dantego.

– Tak, dla naszego Dantego. Przecież zawsze będzie naszym Dantem. Pamiętasz, kiedy przyłapano go, jak kradł pomarańcze? Ile miał wtedy lat? Pięć?

– Cztery.

– Święta Panienko. Co za nad wiek rozwinięty chłopiec!

– Nie do zatrzymania. Nawet jeśli coś zbroił.

– Zwłaszcza wtedy.

– Ja nigdy nie miałam z nim kłopotów. Był zawsze uprzejmy, kiedy przychodził do piekarni. *Si, signora. Per favore, signora.* Mały džentelmen.

– Aż wyrósł na bardzo dużego džentelmena.

– Założę się, że nic w nim nie jest małe. Ha, ha.

– Nie dla psa kiełbasa.

– Masz szczęście, Ledo.

– Wszystko będzie dobrze.

– Zbudujecie sobie w Argentynie małe królestwo.

– Nie na próżno nazwa Argentyna znaczy „srebro”.

- Tylko nie zapomnij o nas.
- Będziesz do nas pisać, prawda?
- Oczywiście, że będzie pisać.

Leda nie odzywała się ani słowem i nikt jej o to nie prosił. Zapadł zmierzch i twarze kobiet migotały w świetle lamp naftowych. Muzycy, którzy grali w drugim końcu pokoju, zrobili sobie przerwę na papierosa, a ich flety i skrzypce leżały milczące na krzesłach. Ledę świerzbiły palce, żeby sięgnąć po skrzypce – jak w dzieciństwie, gdy naśladowała ojca, który muskał palcami szyjkę instrumentu – szarpnąć struny, odkryć nuty, schować się przed światem, tak by nikt nie mógł jej powstrzymać, oszukać czas i gonić za melodiami, którymi jej *papà* zalewał pokój. Kobiety jadły drugą, trzecią dokładkę ciasta, a drobinki cukru pudru osiadały na ich wargach. Śmiały się, ale tylko w oczach nielicznych widać było ten śmiech. Leda czuła się dziwnie, jakby wszyscy – włącznie z nią – odgrywali sztukę teatralną, z której ktoś wyciął najistotniejsze kwestie. Niewypowiedziane słowa unosiły się w powietrzu, a ona nie była w stanie rozszyfrować ich znaczenia. Przeraziła ją nagła myśl, że nie będzie widziała tych twarzy każdego dnia. Jaki będzie jej świat, gdy zabraknie w nim kobiet, które teraz otaczały ją wianuszkami, oferując śmiech, oliwki, słowa pocieszenia i inne rzeczy, o których nie śmiały mówić głośno – czym były te rzeczy? Głodem, tęym nożem – jak gdyby chciały wybrać się w podróż razem z nią, jakby ich dusze pragnęły wyruszyć za ocean, niczym pasażerowie na gapę upchnięci w kącie jej kufra. Nie uniosę tak wiele, pomyślała, nie dam rady zabrać was z sobą. Poczuła się samotna. Ale przecież tego właśnie chciała, prawda? Od czterech lat pragnęła stąd uciec. W wieku trzynastu lat zaczęła marzyć o tym, by zapakować w tobołek chleb i ubrania i wyruszyć do Neapolu pieszo albo błagać woźniców, żeby ją podwieźli. Naturalnie nie mogła tego zrobić. Wiedziała, jakie niebezpieczeństwa czają się na drodze i w mieście. Wyobrażała sobie, że wspina się na Wezuwiusza i rzuca się w jego czarną przepastną gardziel. Ale Wezuwiusz był daleko stąd. Jak mogła się tam dostać? Dwa tygodnie po piętnastych urodzinach Dante



zapropował jej inną możliwość. Podczas niedzielnego obiadu z rodziną ogłosił, że zamierza wyjechać do Nowego Świata, a gdy to mówił, promienie popołudniowego słońca przedarły się przez porośnięte winogronami treliaze i pokryły świetlistymi smugami jego twarz. Niedługo potem Leda wręczyła mu liścik: *Spotkajmy się o dziewiątej pod wysokim drzewem oliwnym za naszym domem.*

Kiedy przyszła na umówione miejsce, już na nią czekał. Stał w blasku półksiężyca.

– Nie tu – powiedziała. – Musimy się schować.

Przemknęła pod baldachimem gałęzi i ruchem ręki przywołała go do siebie. Teraz byli ukryci przed ciekawskimi spojrzeciami, ale nie całkiem bezpieczni. Dante czekał, aż Leda rozpocznie rozmowę.

– Kiedy wyjeżdżasz? – spytała.

– Za trzy tygodnie.

– Dlaczego Argentyna?

– A czemu nie?

Przez chwilę przestępowała z nogi na nogę.

– Jesteś podekscytowany?

– Nie wiem. Chyba tak.

– Boisz się?

– Nie – odparł odrobinę zbyt pospiesznie.

Zastanawiała się, przed czym ucieka. Czy chodziło o coś więcej niż puste kieszenie drugiego syna i chęć zmian? O śmierć jego siostry? O rzeczy, które widział w mrocznych zakamarkach domu?

– Ja bym była. To znaczy podekscytowana.

– Nie bałabyś się?

– Może trochę.

Zamilkli. Jego cień wydawał się czarną masywną bryłą na tle liści.

Leda zebrała się na odwagę.

– Przyślij po mnie – zaczęła. – Jeśli chcesz żony.

Z ust Dantego dobył się dziwny dźwięk, coś jak powietrze wypuszczane przez zacisnięte zęby. Blask księżyca z ledwością przebijał się przez kopułę liści. Leda czekała.

– Pojechałabyś? – spytał w końcu.

– Tak.

Milczał przez długą chwilę jak pokerzysta, który analizuje karty, które ma na ręku.

– Wyjechałibyśmy na bardzo długo.

– Tak.

– Pewnie na zawsze.

– Tak. Wiem.

– Musiałabyś długo czekać, zanim posłałbym po ciebie. Kilka miesięcy. Może nawet dłużej.

– Rozumiem.

Wydawało się, że patrzy na nią z uwagą, choć w tych ciemnościach nie mogła być pewna.

– Czekalabyś na mnie?

Była niespokojna. Nie chciała czekać. Jeśli emigracja to jedyny sposób, żeby otworzyć granice jej świata, była gotowa wyjechać choćby już. Chciała wejść na pokład razem z Dantem, przepłynąć ocean i rozpocząć życie w zupełnie nowym miejscu. On jednak prosił o coś innego. Prosił ją, by odrzuciła zaloty innych chłopców. Dla niej nie było to jednak żadne poświęcenie.

– Tak. Zaczekam.

Znowu zamilkł. Teraz, kiedy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, dostrzegła zarys jego twarzy. Przyglądał się jej z uwagą. Postrzegął ją w zupełnie nowym świetle.

– Ledo – odezwał się i ujął jej dłoń.

– Dante.

– Jesteśmy zaręczeni? – spytał.

– A chcesz tego?

– Tak. Chcę. – Usłyszała w jego głosie wahanie. Zabrzmiało to tak, jakby próbował przekonać kogoś, kto siedział na gałęzi nad ich głowami. Zaraz jednak powtórzył, tym razem nieco bardziej stanowczo: – Tak. Chcę żony. Kogoś, kto znał mnie tutaj, w domu. Chcę, żebyś towarzyszyła mi tam, dokąd się udaję.

Delikatnie pogłaskał kciukiem jej dłoń. Był dobrym człowiekiem. Bratem Cory. Tego właśnie chciały Cora, czyż nie?

Żeby razem wyruszyli w świat i odkrywali go dzięki swojej woli życia, młodości, gotowości do podejmowania ryzyka i ucieczce. Ach, gdyby tylko tu była i mogła to zobaczyć; choć może jej duch unosił się gdzieś nad ich głowami i patrzył na nich z radością, która uwalniała Ledę od poczucia winy. Dantego również, jeśli i jego dręczyło to, co stało się z Corą. Leda była pewna, że tak właśnie jest. Chciała go o to zapytać, ale nie miała śmiałości.

– W takim razie – odezwała się – jesteśmy zaręczeni.

W tygodniach poprzedzających jego wyjazd co noc spotykali się pod drzewem oliwnym. Ogłoszono ich zaręczyny. *Papà* niechętnie udzielił im swego błogosławieństwa – matka nie odzywała się do niej przez tydzień, jakby w ogóle jej nie było, jakby córka zniknęła w innym świecie, tak dalekim, że nikt nie wiedział, czy w ogóle istnieje – ale nawet po tym nocne schadzki były surowo zabronione. Mimo to nikt ich nie zatrzymywał. Być może fakt, że byli kuzynami, dawał gwarancję, że Dante zachowa się jak dżentelmen. A może chciano w ten sposób zrekompensować im czekającą ich rozłąkę. Z każdą kolejną nocą Dante wydawał się bardziej oddany swojemu postanowieniu, niczym przykładowy uczeń, któremu polecono się zakochać. W ciemności, pod kopułą z liści, Leda pozwalała mu się całować i pieścić przez ubrania, a po kilku nocach mógł dotykać jej nagich piersi tak długo, jak chciał, najpierw stojąc, potem klęcząc przed nią, aż w ostatnim tygodniu oboje położyli się na ziemi. Jego dotyk uspokajał ją. Sprawiał, że czuła się silna i dojrzała. Koronka, którą gałęzie drzew tkwały z księżycowego światła, stawała się coraz skromniejsza z każdą upływającą nocą. W ostatnią wspólną noc księżyc nie pojawił się na niebie i ich ciała pogrążyły się w ciemności. Dłonie i usta Dantego błądziły po jej piersiach i jak co noc, przywarłszy do jej ciała, stwardniał. Od jakiegoś czasu nie próbował tego ukrywać, a jego nabrzmiały członek napierał na jej udo, jakby pragnął coś powiedzieć. Jego kształt budził w niej ciekawość. Jak wyglądał? Czego chciał? A gdyby ktoś przechodził obok i usłyszał urywany oddech Dantego? Jego ciało zdawało się płonąć od pytań, na które nie znała odpowiedzi. Jeszcze mocniej otarł się o jej udo, a ona nie

próbowała go powstrzymać. Nie wiedziała, jak ani nawet czy tego chce. Zaciskała nogi, a on nie próbował ich rozsuwać. Tymczasem jego dłonie coraz mocniej ugniatały jej piersi, oddech stawał się szybszy i głośniejszy, a zęby kąsały jej ciało. Cóż to? – pomyślała. Mój kuzyn zmienił się w bestię, a teraz napręża się niczym struna i napiera na mnie w milczeniu. Czują na sobie jego ciężar. Trzymała go. Miała wrażenie, że czegoś jej brakuje. Tylko czego?

Wiedzy.

Chciała wiedzieć, co czuje Dante. Jak to jest być w jego skórze.

Przez chwilę milczeli i nagle się odezwał:

- Nie mogę się doczekać, aż do mnie przyjedziesz.
- Czas szybko zleci, jeśli będziesz ciężko pracował.
- Będę. Oczywiście, że będę.

I rzeczywiście pracował.

\*

Tak przynajmniej wnioskowała z listów Dantego, z których przez rok i dziewięć miesięcy czerpała informacje o jego życiu w Argentynie i które sprawiały, że chciała usłyszeć więcej, poznać to wszystko, co zostało przemilczane, każdy zatajony szczegół. W noc poślubną nie mogła zasnąć. Kiedy razem z rodziną wróciła do domu, zostało raptem półtorej godziny do przyjazdu powozu, którym razem z ojcem wyruszy do Neapolu, gdzie wieczorem wsiądzie na pokład statku. Tuż po tym, jak przekroczyli próg domu, matka, która po drodze nie odezwała się do niej ani słowem, zniknęła w sypialni, zamknęła za sobą drzwi i do rana stamtąd nie wyszła. Tommaso i ojciec zanieśli do łóżek dwóch śpiących braci Ledy. Siedmioletnia Margherita weszła do domu uczipiona ręki starszej siostry, zapewniając płaczącym głosem, że nie jest zmęczona. Wystarczyło jednak, że Leda okryła ją kołdrą, a dziewczynka zaraz zasnęła.

Leda wróciła do kuchni, ciemnego pomieszczenia z masywnym drewnianym stołem, przy którym rodzina jadała posiłki. Tommaso i ojciec stali zakłopotani przy piecyku, jakby liczyli na to, że ogień,

który dawno już zgasł, udzieli im dalszych instrukcji.

– Chłopcy śpią? – spytała.

– Jak kamienie – odparł Tommaso.

Wyglądali na zmęczonych. Nie mieli okazji porozmawiać na weselu, a teraz było za późno na to, by śmiać się czy kłócić. Świadomość tego sprawiła, że Ledzie zrobiło się ciężko na sercu.

– To już jutro – rzucił *papà*.

– Nie jutro – poprawił go Tommaso. – Dziś.

*Papà* spojrział ze smutkiem na Ledę.

– Piękna z ciebie panna młoda – zauważył Tommaso bez cienia złośliwości.

Zdumiał ją ten komplement.

– Nawet jak na twoją starszą siostrę?

– Tak. – Uśmiechnął się, ale na nią nie spojrział.

Po tych słowach się rozeszli. Każdy do siebie – Tommaso do pokoju chłopców, *papà* do małżeńskiej sypialni, a Leda do maleńkiego pokoiku, który dzieliła z Margheritą – bez słowa, nie pożyczwszy sobie nawet dobrej nocy, jakby powietrze było dość ciężkie od pożegnań. Leda stała przez chwilę przy łóżku, bojąc się położyć.

– Ledo? – usłyszała za drzwiami głos ojca.

– Wejdz – odparła.

Wszedł, niosąc czarny futerał na skrzypce. Ten widok zaskoczył ją, bo od pięciu lat instrument leżał zamknięty w kufrze, który wielokrotnie próbowała otworzyć spinką tylko po to, żeby wpuścić do niego odrobinę powietrza, światła, kroplę oleju, by wygładzić struny, jak nauczył ją ojciec, kiedy była małą dziewczynką. To, co zdarzyło się Corze, nie było winą skrzypiec i instrument niesłusznie został skazany na taką karę. Leda podarowałaby mu chwilę wytchnienia, gdyby tylko była lepszym złodziejem. Ale ojciec nie nauczył jej kraść. Zamiast tego pokazał, jak polerować pudło rezonansowe i wcierać żywicę w naciągnięte na smyczek końskie włosie. Uwielbiała to robić; uwielbiała myśleć, że ma swój udział w tym, jak pięknie brzmiały, kiedy ojciec na nich grał. Kochała ten moment, gdy niebo stawało się płótnem, które aż się prosiło, by

któs pomalował je muzyką. *Papà* grał Scarlattiego, Donizettiego, melodie ludowe, biesiadne, tarantele, a czasem improwizował. Skrzypce mówiły to, czego nie wypowiadały jego usta. Leda patrzyła na niego wygłodniałym, ciekawskim wzrokiem, pragnąc, by uczył ją, a nie Tommasa, którego lekcje przebiegały w nerwowej atmosferze. Brat nie chciał się uczyć, a jednak *papà* uparł się, że uczyni z niego następnego muzyka w rodzinie. Nie chodziło o to, że kobiety nigdy nie grały. Z historii muzyki, którą znalazła na półce z książkami ojca, Leda dowiedziała się, że szlachetnie urodzone damy w Neapolu i Rzymie od wieków grały na skrzypcach. Sęk w tym, że nie była arystokratką ani nawet nie mieszkała w Rzymie, a w jej wiosce kobiece dłonie były potrzebne do gotowania, szycia i sprzątania. Kiedy mężczyźni grali na przyjęciach, kobiety podawały kawę i szorowały garnki. Gdy mężczyźni ćwiczyli, kobiety cerowały ich koszule. Uczenie dziewczynki umiejętności, której nie będzie mogła wykorzystać albo, co gorsza, przez którą – jak Leda – zaniedba swoje obowiązki, było stratą czasu. Po śmierci Cory ojciec, targany bólem i poczuciem winy, zamknął skrzypce. Tak myślała Leda, że to poczucie winy sprawiło, że przestał grać, przekonanie, że ma krew na rękach; oni wszyscy mieli wrażenie, że mają na rękach krew Cory, tak przynajmniej wydawało się Ledzie; rodzina zmieniła się po jej śmierci, stała się zgorzkniała, niepewna i zaczęła stronić od ludzi; ojciec jednak najbardziej ugiął się pod ciężarem tego brzemienia – powinien był coś zrobić, w końcu był mężczyzną, prawda? Kochał bratanicę, jak więc mógł ją zostawić na... Ledzie w każdym razie wydawało się, że takie myśli chodzą mu po głowie; nie miała pewności, bo nikt o tym nie rozmawiał.

Zanim to wszystko się wydarzyło, obserwowała lekcje brata, stojąc w progu pokoju gościnnego albo siedząc w kącie i udając, że szyje, podczas gdy tak naprawdę zapamiętywała każde słowo, które padało z ojcowskich ust. Później wykradała skrzypce, wychodziła na dwór i ćwiczyła każdy szczegół, który opisywał, przyglądała się strunom i nutom, stawała tak, jak *papà* nakazywał Tommasowi, i grała tarantelę tak długo, aż melodia wypływała jej spod palców, rozgrzana tajemnicą wśród posępnych drzewek oliwnych.

– Prezent ślubny – oznajmił ojciec szeptem, by nie obudzić młodszej córki. – Podaruj je Dantemu.

Patrzyła na niego w milczeniu.

– Niech wniosą do waszego życia odrobinę piękna.

Król Neapolu przewracał się w swoim liczącym czterysta lat grobie. Powinna odmówić. Wywiezienie instrumentu z Włoch zakrawało na świętokradztwo. Ale czy świętokradztwem nie było zostawienie go tu, by już zawsze milczał?

*Papà* wyciągnął skrzypce w jej stronę, a ona chwyciła futerał, zanim zdążyła się rozmyślić. Nadal nie była w stanie wykrztusić słowa. Przez chwilę stali w pełnej napięcia, niezręcznej ciszy i nagle ojciec wyszedł.

Nie mogła zmusić się do tego, żeby otworzyć futerał i spojrzeć na ukryty w nim instrument. Jeszcze nie. Włożyła go do kufru, usiadła na łóżku i próbowała nie myśleć, zatrzymać galopujące myśli. Oto i ona: panna młoda w noc poślubną. Bez pana młodego, który zrobiłby z nią to, co należy zrobić w taką noc. Zamknęła oczy. Pod powiekami, podobnie jak w pokoju, panował mrok. Poluzowała cumy umysłu i pozwoliła myślom dryfować po wielkim, nocnym świecie. Te jednak wzbiły się w niebo i popłynęły ku Wezuwiuszowi widocznemu ze wzgórz za jej wioską i górującemu nad ziemią niczym okryty zielonym płaszczem król. Kiedy była dziewczynką i miała chwilę dla siebie – bez łuskania fasoli, noszenia wody i skubania kurczaków – wspinała się na te wzgórza tylko po to, żeby popatrzeć na krajobraz, na wulkan. Miała nadzieję zobaczyć tłący się w jego wnętrzu ogień, rozgrzane do czerwoności okrucieństwo, które zniszczyło starożytne miasto Pompeje. *Nonno*, ojciec jej matki, nigdy nie zmarnował okazji, by opowiedzieć jej ciekawą historię, a najbardziej lubił tę o wielkim mieście, które kilka lat temu – tak właśnie mówił, „kilka lat temu”, jakby historia ta wydarzyła się pokolenie, dwa temu – zostało pogrzebane pod lawą i popiołem. Zginęły tysiące ludzi, mówił. To była straszna, nagła śmierć. Kobiety przyłapano nago w łaźni już nigdy nie założyły swoich szat. Dzieci kłócące się o drewnianą lalkę już nigdy nie miały okazji się pogodzić. Mężowie w drodze

do domu na zawsze stracili szansę, by ucałować żony. Wszyscy ci ludzie zostali pogrzebani w ruchu, w pianie, pośród rzeczy, które kochali. Wyobrażasz to sobie? Ich ciała, pełne życia i marzeń, i nagle – szast! – stali się niczym. Byli martwi. Śmierć potrafi być szybka, *cara Leda*. Na tym polega życie. Myślimy, że jesteśmy tacy silni, tacy prawdziwi, ale istnieją rzeczy dużo silniejsze i prawdziwsze. My jednak zapominamy o nich, aż jest za późno, i to one grzebią nas pod warstwą popiołu.

Bywało, że opowieści dziadka o dawnych Pompejach ciągnęły się godzinami, aż sparaliżowane, wymarłe miasto zdawało się Ledzie bliższe niż jej własna wioska. *Nonno* snuł je na zacienionym patio, za kuchennymi drzwiami, o zmierzchu w długie letnie wieczory, kiedy Leda łuskała groch albo rozłupywała orzechy. Podczas gdy jej ręce wędrowały machinalnie z miski do miski, oczami wyobraźni wyraźnie jak na dłoni widziała zastępy duchów. Woźniców rydwanów, którzy machali biczami nad lśniącymi końskimi karkami. Dzieci sprzeczące się o zabawkę; jedno z nich – wyrosnięty łobuz – ścisnęło ją w dłoniach, gdy pozostała trójka wyciągała ku niej ramiona. I kobiety w łaźni. *Nonno* zawsze wspominał o kobietach w łaźni. W Pompejach, tłumaczył, służące oblewały kobiety wodą, żeby umyć ich ramiona, plecy, piersi. Rozkoszując się dotykiem chłodnej wody na rozgrzanych ciałach, nagie w marmurowych wannach, marzyły. Jeśli były pannami, marzyły o nocy poślubnej, o tym, co wydarzy się w alkowie, kiedy uczta weselna dobiegnie końca.

Wzmianki o nocach poślubnych pojawiały się w opowieściach dziadka tylko wtedy, kiedy wypił więcej wina niż zwykle. Leda nie mogła jednak przestać myśleć o tych młodych kobietach, ich nagich namydlonych ciałach i o tym, jak marzyły o nocy poślubnej z ukochanym, która nigdy się nie wydarzy. Myślała o nich, siedząc nad rzeką albo kiedy leżała sama w łóżku – myślała o nich teraz, w swoją noc poślubną. Oblała się rumieńcem, gdy wyobraziła sobie marmurową wannę i nagą dziewczynę z plecami wygiętymi w łuk, zamkniętymi oczami, prężącą pierś ku sklepieniu, drżącą pod dotykiem widmowych dłoni i nieświadomą nadciągającej zagłady.



Kiedy w końcu otworzyła oczy, przez okno do pokoju wpadały pierwsze nieśmiałe promienie słońca. Jej sukienka podróżna leżała na kufrze. Margherita poruszyła się we śnie. Na zewnątrz wróbel sprzeczał się z porankiem, a w kuchni mama parzyła kawę. Leda przebrała się, upięła włosy w kok i poszła pomóc matce, która nie powitała jej ani nawet nie podniosła wzroku. Pachniała ciepko, tłącym się drewnem i niespokojnym snem. Leda chciała zapamiętać ten zapach, ukryć go w pamięci wraz z sylwetką matki krzątającej się po kuchni – miejscu, gdzie spędziła tak wiele lat, że bez niej pomieszczenie zapadłoby się w siebie. Gdy kawa zaczęła parzyć się na piecu, *mamma* odwróciła się do niej.

– Nie mogę – powiedziała.

Leda czekała, aż doda coś jeszcze, ale ona patrzyła na nią wodnistymi, przerażającymi oczami, które w dzieciństwie przywoływały dziewczynkę do porządku i obnażały wszystko, co chciała ukryć przed światem. Aż do tej chwili nie przyszło jej do głowy, że matka może być udręczona. Zawsze była zmęczona i surowa wobec starszej córki, która bez względu na to, co robiła i jak się zachowywała, nigdy nie potrafiła jej zadowolić. Leda nie umiała uwolnić matki od goryczy i cierpienia – następstw dwóch poronień i urodzenia martwego dziecka po tym, jak na świat przyszedł Tommaso – które umęczyły jej ciało i serce do tego stopnia, że gdy urodziła następne dzieci, była już tak wyczerpana, że nie dbała o Ledę i nie zwracała na nią uwagi poza krytykowaniem jej i pilnowaniem, czy wykonała swoje obowiązki. Tak przynajmniej wydawało się Ledzie, aż do tej chwili, aż do tego spojrzenia. Nie wiedziała nic o sercu matki, zakładała, że zostało zamknięte i było wobec niej obojętne. Dopiero teraz, na chwilę przed wyjazdem, zrozumiała, że mogła się mylić.

– *Mamma* – odezwała się. Stała z nożem w dłoni, pochylona nad bochenkiem chleba.

– Nie mogę – powtórzyła matka. – Nalej kawy – powiedziała i wyszła frontowymi drzwiami; ruszyła ścieżką w górę w stronę rzeki.

Tommaso i *papà* zdążyli wstać, wypić kawę i zjeść podsmażony

chleb, a mama wciąż nie wróciła. Brat paplał o wczorajszym przyjęciu, o tym, kto za dużo wypił, i śmiał się z własnych dowcipów. Wydawał się zdenerwowany; w takich sytuacjach robił się gadatliwy, co zwykle drażniło Ledę, ale dziś widziała w nim wyłącznie chłopca. Delikatnego dzieciaka, który śpiewał kurczakom i płakał godzinami, kiedy pierwszy raz musiał jednego zabić. Dziś uczesał włosy, jak robił to na specjalne okazje, maczając grzebień w oleju z nasion winogron i robiąc idealny przedziałek. Leda starała się nie myśleć o tym, że być może już nigdy go nie zobaczy. Starala się nie myśleć o matce stojącej nad rzeką i próbowała wypchnąć ten obraz z pamięci, gdy przyjechał powóz.

W końcu wszyscy wyszli na zewnątrz: Leda, jej ojciec, Tommaso i zaspane dzieci w pomiętych ubraniach z poprzedniego dnia, wyciągnięte z łóżek, żeby pożegnać siostrę. Woźnica i ojciec umieścili kufer na tyle powozu. Leda jednego po drugim ucałowała chłopców niemających pojęcia, co się właściwie dzieje, i Margheritę, która zarzuciła jej ręce na szyję, jakby to był maszt tonącego statku. Tommaso po raz pierwszy nie miał nic do powiedzenia. Ojciec wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wsiąść do powozu. Nadal nie było śladu mamy. Jak mogła tak po prostu wyjść, nie ucałowawszy jej na pożegnanie? Leda nie miała jednak wyboru. *Mamma* uciekła z własnej woli i szukanie jej w lesie i na wzgórzach mogło zająć nawet cały dzień, a tymczasem statek z Neapolu odpływał dziś wieczorem. Leda musiała jechać. Pożegnania dobiegły końca, położyła dłoń na drzwiach powozu i stanęła na schodkach. Ojciec delikatnie ujął jej rękę i pomógł wejść, a następnie sam zajął miejsce obok. Wyjrzała przez okno na Tommasa i dzieci. Wydawali się tacy mali.

– *Ciao, Leda!* – zawołali chłopcy. – *Ciao* i powodzenia w Ameryce!

Głosy mieli bez troskie, radosne. Jakby Ameryka była wioską gdzieś w okolicach Neapolu.

Machali jej, kiedy powóz ruszył. Ona także im machała, aż do chwili, gdy straciła ich z oczu.

Ojciec cały czas trzymał ją za rękę. Leda zamknęła oczy i

udawała, że śpi. Wkrótce stukot końskich kopyt na bruku ustąpił miejsca stłumionym plaśnięciom na ubitej ziemi, co oznaczało, że wyjechali z wioski i nie są już w Alazzano, ale na drodze gruntowej do Trinità, która nieco dalej rozszerzała się, tworząc długi, prosty trakt biegnący na północny zachód w kierunku Neapolu. Z każdym uderzeniem końskich kopyt Neapol był coraz bliżej. Chciała obserwować widoki za oknem, ale wiedziała, że jeśli otworzy oczy, *papà* zobaczy, że nie śpi, i będzie próbował z nią porozmawiać. Tymczasem Leda nie mogła znieść myśli o tym, co mógłby jej powiedzieć. Dlatego zaciskała powieki i oczami wyobraźni podziwiała zmieniające się krajobrazy. Zbocza i zakręty. Niezliczone odcienie zieleni. Dudnienie kół wprawiło ją w stan podobny do snu. A jednak nie spała i nie śniła. Była w powozie z ojcem i spowici złotym pyłem, jechali w rześkim powietrzu ku rozległej pustce.

Obudził ją gwar. Opierała się o ojca i pozostawiła strużkę śliny na rękawie jego płaszczka. On jednak niczego nie zauważył; wyglądał przez okno na zatłoczoną ulicę. Neapol. Znalazła się tu po raz pierwszy w życiu. Wszystkie budynki były wyższe, niż to sobie wyobrażała. Zobaczyła kościół z fasadą rzeźbioną w motywy rodem ze snów oszalałych aniołów: wysokie łuki, cherubiny płaczące nad bezgłowymi ciałami świętych, balkony podtrzymywane przez dekadentkie kolumny. Była tu również fontanna pełna nimf, których szaty kleiły się do ich piersi, gdy zakłęte w kamieniu, wyciągały ręce w stronę wody. I ludzie, woń końskiego łajna, potu i gnijących melonów, mężczyźni w kapeluszach, kobiety z koszykami i sprzedawcy z wyładowanymi po brzegi wózkami. Wszyscy tłoczyli się na chodnikach z taką siłą, że Leda nie mogła pojąć, jak to możliwe, że w ogóle się mijają, skąd wiedzą, dokąd idą, i jak znajdują dla siebie miejsce w tej ludzkiej masie. Czy ona kiedykolwiek nauczy się chodzić w ten sposób? Uliczny sprzedawca zachwalał ryby z porannego połowu, najlepsze ryby, jego ryby, kupujcie już teraz, jeśli wasz mąż umrze z taką rybą w brzuchu, bądźcie pewne, że umarł jako szczęśliwy człowiek. Mleko, mleko! – krzyczał inny. Jeśli kiedykolwiek

piliście świeższe, to chyba prosto z wymienia. Ludzie na ulicy mijali go, nawet nie zwalniając, ze wzrokiem wbitym przed siebie, jakby w oddali widzieli swoją przyszłość i kroczyli ku niej.

Powóz zatrzymał się na skrzyżowaniu. Na rogu stała kobieta w sukni koloru krwistej czerwieni, który odkąd Leda sięgała pamięcią, był zakazany dla kobiet. Czy to możliwe, że tu, w Neapolu, zakaz ten nie obowiązywał? Nie chodziło jednak tylko o kolor. Krój sukni był bardzo śmiały – obnażał blade, piegowate ramiona. Straszny widok! Leda nie mogła oderwać wzroku od tej kobiety. Ta jednak stała bez ruchu, a gdy któryś z mężczyzn zwalniał, żeby na nią spojrzeć, uśmiechała się do niego i pozwalała mu patrzeć do woli. Leda wciąż zerkła w jej stronę – choć kobieta nie mogła jej zobaczyć – i przez ułamek sekundy wyobraziła sobie, że otwiera drzwi powozu i bez słowa pożegnania, zostawiwszy za sobą wszystkie swoje rzeczy, idzie w stronę kobiety w czerwieni i wzburzonej rzeki mieszkańców Neapolu – szalony akt, który mógł zaprowadzić ją tylko do rysztocka albo zakończyć się jedną z tych strasznych rzeczy, które spotykały młode kobiety, kiedy te porzucały swoje bagaże i narzeczonych czekających na nie cierpliwie na drugim końcu świata i rzucały się w wielkie ramiona niebezpiecznego miasta. Cóż za szokująca myśl! Skąd ona się wzięła? *Zachowuj się*, usłyszała w głowie głos matki, a zaraz potem głos Cory: *Chodź, chodź, co z tego, że zamoczysz spódnice?* I nagle nie mogła już myśleć, była w rzece razem z Corą, która krzyczała, umierała; mało brakowało, a Leda utonęłaby razem z nią, ale musiała żyć, musiała żyć, nie wejdzie do wody, nie postawi stopy w tej wielkiej rzece neapolitańczyków i nie zbliży się do tamtej kobiety. Mężczyzna, który przyglądał się tej w czerwieni, odszedł i kobieta znów została sama, jej suknia stała się krwawą plamą w tłumie. Powóz jechał dalej, a Leda została w środku, jak przystało na dobrą żonę, rozsądną dziewczynę i damę. Kobieta w czerwieni zniknęła i Leda wymazała ją z pamięci.

– Jesteśmy prawie na miejscu – oznajmił ojciec.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiazka.pl](http://taniaksiazka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarń i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).